



~~1651~~

POSIADY.

~~BIBLIOTEKA~~

~~URZĘDNIK. TOW. WZAJ. UD. w KRAKOWIE~~

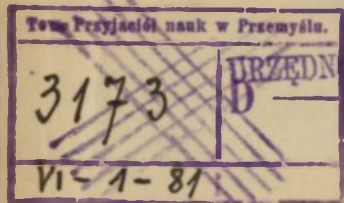
~~SEKCJA IV.~~



WOJCIECH BRZEGA

# POSIADY

(OPOWIADANIA Z PODHALA)



~~BIBLIOTEKA~~  
~~TOwarz. UD. w KRAKOWIE~~  
~~SEKCJA IV.~~

KRAKÓW 1913.

NAKŁADEM KSIĘGARNI LITERACKIEJ  
KAROLA KWAŚNIEWSKIEGO W KRAKOWIE.  
WARSZAWA — O. CENTNERSZWER I SKA.

A-18581



1000173328

BIBLIOTEKA

UMCS

LUBLIN

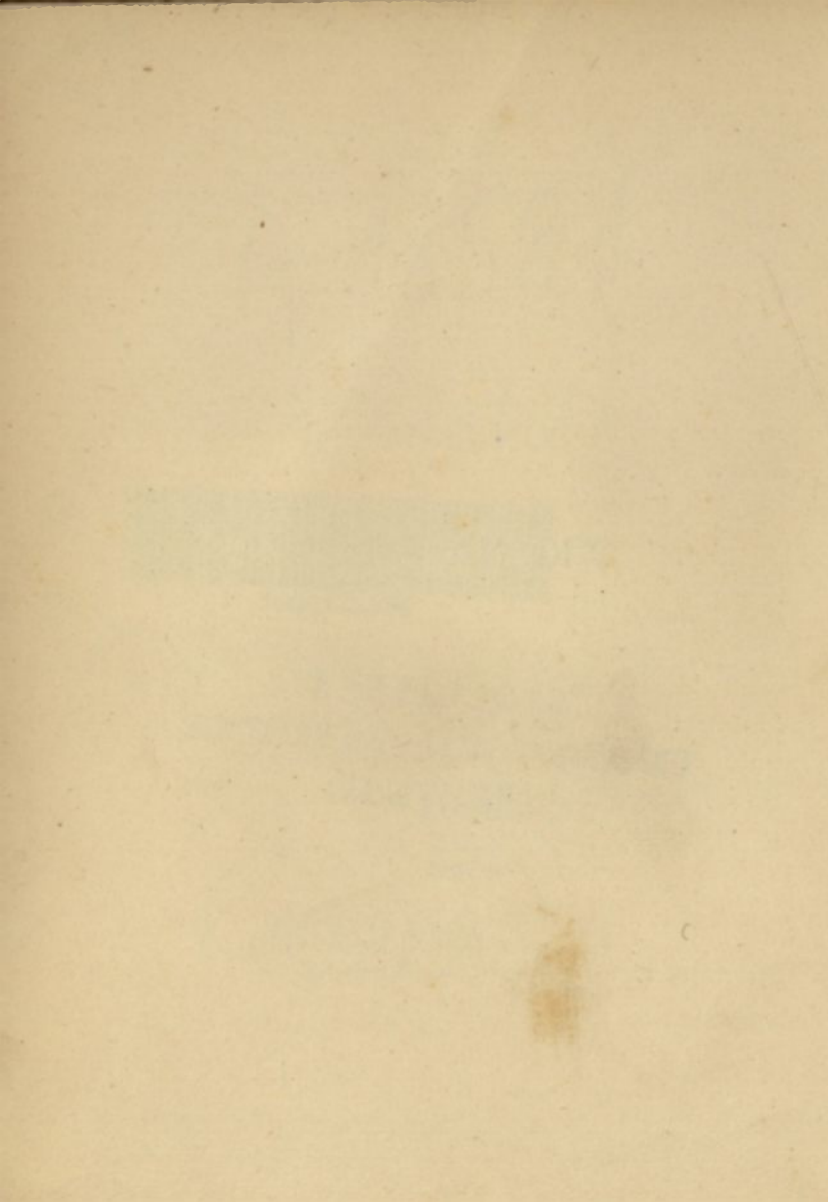
Literat. 13a

K. 1160/56/3571

Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie pod zarządem  
L. K. Górakiego.

WIOSNA

~~BIBLIOTEKA  
URZĘDN: TOW: WZAJ: UD: w KRAKOWIE  
SEKCJA IV.~~



Słońko ku wieśnięce wysoko się wzbiło nad ziemię i spojrzało na świat lutościwem swem okiem. Góry, lasy i pola pociemniały, a w łonie matki ziemi drgnęła twórcza siła. Słońko coraz wyżej szło po niebie i coraz cieplej patrzyło ku ziemi — tam patrzyło, ka niewola zimy panowała.

Ziemia pod wpływem miłościwego spojżenia budziła się do życia; śniegi tajały, lody pękały, a mętna, wezbrana woda górskich potoków wesoło zaszumiała i kruszyła lody, niosąc je do morza, jak stargane okowy, co ją tak długo w niewoli zimy trzymały.

Święta Agnieszka wypuściła skowronka z mieszka.

Więc wysoko wyleciała ptaszyna ponad szare kopliny i śpiewa. Bogu na chwałę, lu-



dziom na osłodę; matce ziemi wyśpiewa  
wyzwolenie, a wiernym zmartwychwstanie  
Zbawiciela świata, co za ludzi umarł na krzyżu  
a z wiosną zmartwychpowstaje i błogosławi  
budzącej się do życia naturze.

Na Toporowej Cyrli zakwitły krokusy.

Przez śnieg wyciągają swe wiotkie do słońca  
kielichy; barwią szare pola cudnymi tonami  
fioletów.

W chałupie starego Tomka Topora wylud-  
niło się z czeladzi. W zimie to tam gwarno  
i ludno, ale teraz, kie ciepło nastąpiło, syćko  
wygarnęło się w pole.

Gazda z gaździną to koło statku, to koło  
pola robią, a dzieci, to jakby wiatery wywiały  
w pole; już go ta nie utrzymiesz w izbie —  
kie się wiesna zrobi!

Ostał ino stary dziadek — som ostał, bo  
chodzić nie może; nogi mu poraziło, to bez  
porę roków musi w izbie siedzieć.

Stary Tomek Topór — Jewin Tomek, jak  
go ta zwyczajnie nazywają — leży na po-

ścieli, patrzy ku powale i coś se medytuje. To smutek, jak cień od chmur po lesie, to spokój przelatuje mu po twarzy.

Myśli se nad życiem ludzkim, jakie je dziwne, bo kie człek młody, to mu syćko równo, a kie sie zestarzeje, to mu młodości zol.

„Hej! Młodość moja młodość  
Przysłaś mi na żalność“.

Serce Tomka smutek ogarnia, żalność za tą młodością porwała go teraz, na starość — niedołość cięży — a tu przed oczyma zjawiają się obrazy młodości, jak ostatnie zachodzącego słońca blaski.

Twarz mu znów smutek owiał — oczy zamglone patrzą gdzieś w inne światy — patrzą z utęśnieniem w minione lata. Żalność stare serce ściska.

Jaze po chwili smutek ustąpił z twarzy. a jakieś skupienie ją objęło, bo oto pieśni stare przychodzą mu do głowy, gwałtem proszą o śpiewanie i szumią mu dawne czasy, wywołują z pamięci dawnych ludzi. Kie sie

mu tak wyzbacują te stare śpiewanki, to mu się płakać chce, bo to wspomnienie dawnych czasów — a dziś on już dziad — sietniok.

Te nuty już zaginęły i ludzie wymarli, co je śpiewowali — tylko czasem te nuty przychodzą ku niemu, jak z grobów duchy pomarłych towarzyszy. On je też ze sobą zabierze do grobu.

I tak śpiewanki przechodzą jedna za drugą, a potem znikają w zapomnieniu — jaze przyszła Tomkowa nuta, wpadła mu w serce — i gra na strunach jego duszy, jak wiatr szumi po drzewach w lesie.

A Tomek widzi się, jak w ratułowskiej karcmie tońcy. Starzy gazdowie siedzą po ławach i wołają: „Tońc hłopce, niek ci sie napatrzymé!”

A ón tońcy i choć ta jest w niepilej wsi, to i tak sie nikogo nie boi. Tońcy tak, co dyle dygotają, izba się trzęsie, a szał młodości go obejmuje, a radość serca rozpiera.

Takby tończył całą noc, cały dzień, jeden i drugi — całe życie by przetończył!

Pote zaś widzi, jak idą w dziesięciu przez Luptów; noc ciemna, trochę się w stronie Orawy łyśka; oni idą ku dziedzinie; każdy ma ciupagę w garści, flintę krótko uciętą pod cухą — idą wartko z towarzyszami — a jemu się zdaje, że furkają — że on z gromadą jastrzębi na luptowską dziedzinę leci.

Tak se przybacuje downe casy, a słońko tymczasem rzuciło przez okno snop światła do izby i przeszło po pościeli ku Tomkowej głowie.

Przeszło i zaświeciło mu w oczy, jakby chciało — to wiosenne słoneczko, zajrzeć na niego, cy ta jesce stary dziadek żyje. A kiedy go tak lutościwie zagrzało po gębie, obrócił twarz ku słońku i z wdzięcznością spojrział w jasny snop światła.

Patrzy przez promień słońka do okna, widzi, jak tam na świecie wiosna się zrobiła, jak góry poczerniały, jak białe, ciepłe obłoki

płyną z za gór ku Polsce. Wtedy już o syciem zabaczył, ba wstał z pościeli i powłókł się do okna.

Krzywemi palcami je otworzył, wsparł się na niem łkciami, wystawił głowę do pola, patrząc się na świat Boży. — A wiatr przyniósł ciepły wiosenny powiew i oblał nim starą twarz. Wiosna mu życiem zapachniała.

„Niek ta i mnie starego wiosna oduje i słońko oświeci; cyby jako nie odmłodnieć!“

Wyszczerzył zęby i zaśmiał się do wiosny.

Juz mu teraz nicego nie zol, ba se poziero po świecie, a hań muhy brzęcą, ptoki śpiewają, he, jak śpiewają! Skowronek nad półkami tak bidocek dziawko. Mentle latają. Do znaku się wiosna wybrała.

Dziękował w duszy Panu Bogu, że go dotrzymał do tego czasu. Zycie kozdemu miłe; nomniejsy robocek, a broni się przed śmiercią.

Tak se patrzył stary Tomasz na świat z rozkoszą, gdy daleki, cichy i smutny głos dzwonu go doleciał.

Stary drgnął. „Cy na ogień dzwonią? — Nie, to tak, jak umarłemu. He, pewnie Józek z Budzuwki umarł, bo gworzyli, że wcora bół u niego ksiądz z Pane Jezuse“

Ostatni to rówieśnik jego.

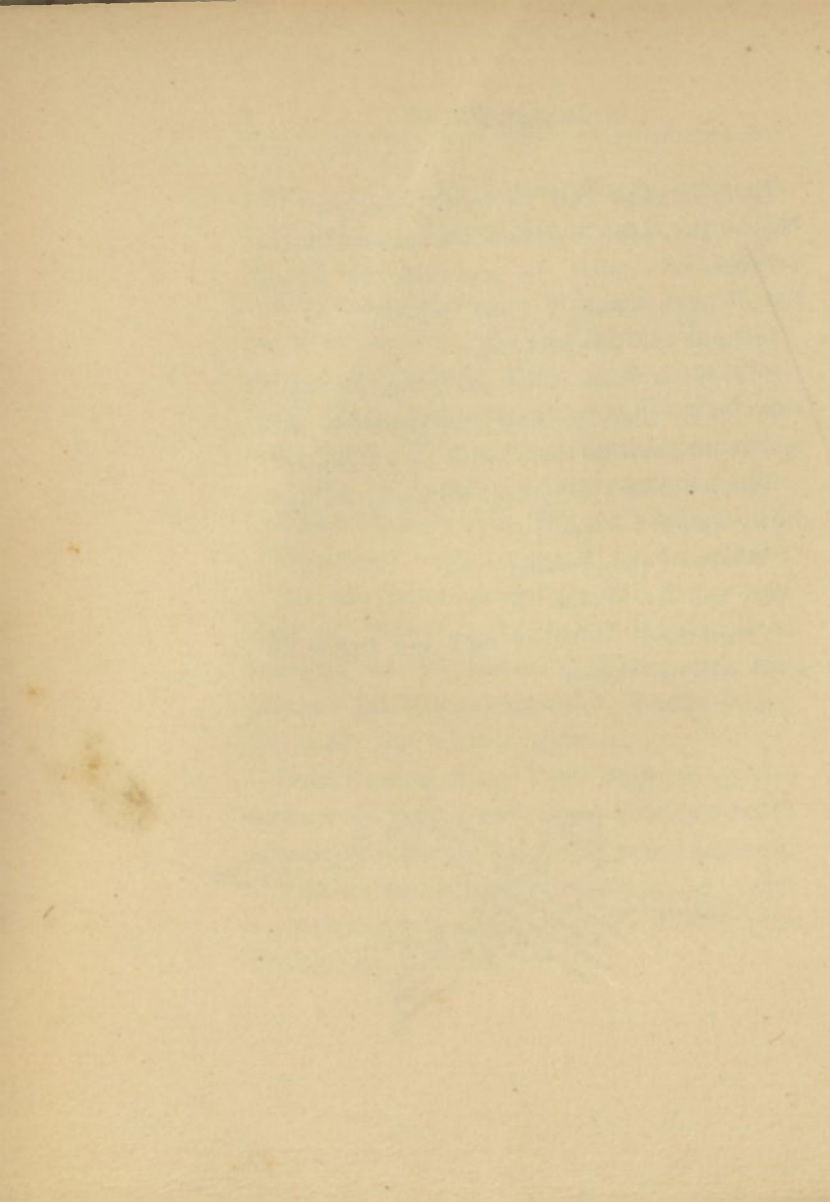
„Teroz na mnie kolej przyjdzie, ale dziękuje Panu Bogu, że mnie dotrzymał do wieśny, że mi pozwolił takie ładne casy oglądać“.

Dziadek twarz dłońmi złożonemi do modlitwy zakrył i szepce:

„Wieczne odpoczywanie  
Rac mu dać Panie.

A światłość wiekuista niek mu świeci na wieki wiečne. Amen“.

~~BIBLIOTEKA~~  
URZĘDNIK: ~~UB: w KRAKOWIE~~  
~~SEKCJA IV.~~





PODŁAZY.





„Niek będzie pokwołony Jezus Chrystus!

Na szczęście, na zdrowie,  
na to Boże Narodzenie!  
Co by się wam rodziło,  
mnożyło, syćko dobrze powodziło.  
Cobyście mieli wołków,  
jak na dachu kołków.  
Cobyście mieli owiecek,  
jako w kopciu mrowicek.  
Cobyście mieli cielicek,  
jako w lesie jedlicek.  
Cobyście mieli dzieci,  
jak przy dzwirzak śmieci;  
w kozdym kontku po dziesiontku,  
na pościeli troje!  
Cobyście béli weseli,  
jako w niebie janieli.

Cobyście mieli za zycio fortune,  
a po śmierci niebieskom korone“  
mówił Stascyk, z Gładkiej, od Jędrasiów,  
zwany ogrodnikiem, ze to rad hodował  
drzewka owocowe — wszedłszy do izby Mor-  
cinka Tadzioka, do którego na podłazy przy-  
szedł. Kiedy się miała pasterka ku końcowi,  
on nie czekając, aż ludzie gruchną hurmą  
z kościoła, ba wydostawszy się prędeej, szedł  
prościutko do starego towarzysza, by go  
pierwszy podejść i podług dawnego zwy-  
czaju, stojąc przy drzwiach, winszował, siejąc  
po izbie owsem, który miał w rękawicy ze  
sobą. Po przemowie wyjął węzełek z pie-  
niędzmi srebrnymi i poklepał niemi Morcinka  
po głowie, „coby bęł bez cały rok zdrowy,  
jak piniądz“. Potem dopiero podał rękę ga-  
zdowi, który przez cały czas tego obrzędu  
siedział przy stole i z namaszczaniem słuchał  
słów podłaznika. Przywitali się. Morcinek  
z wdzięcznością popatrzał swojemi niebie-  
skimi, dobrymi oczyma w wesołą twarz

Staszczyka i zaprosił go za stół obrusem nakryty, pod którym był owies, a za którym w kącie stał snopek.

— Siedniciez, o! siądacie se, a probujcie hlebicka — coby nom statek jod — a picie — jest tu krapka wina — jo do tego matury nimom — ale wy sie napicie — coby nom statek pił.

Podłóżnik musiał jeść i pić, bo inaczej „statek by ni miał matury do jedzenio i picio“ — tak gwarzeli downi ludzie, tak tez i Morcinek robiel. Stascyk nie doł sie nukać, ba wzion owsiany moskolicek, ułamał kęs i podał gazdowi:

— Hleba nasego powsedniego—ułomcie— to nolepsy nas hlebicek, starzy ludzie takim zyli, a chłopi béli.

— Bo téz béli.

— Nie tako zjedź, jako dzisiok!

— Bo téz nie tako.

— Ba hłopy, jako buki.

— Co nie zol béło popatrzeć na nik! —  
Napicie sie Stasiu winka.

— Déj ta ino pomału.

— Ino sie téz napicie! — Trza krapke  
w krztonie wloć, coby nase, wiecie, krowy  
piły.

— No, dyć jo haw nie taki przebiorny.  
Niek bedzie pokwolony — mówił Stascyk,  
pijąc wprost z butelki.

— Boze wom daj zdrowiel

— Picie Stasiu, niek wom na uzytek wyń-  
dzie. Mozebyście bryndzy, ale nima gaździny,  
nie znom ka sukać.

— Dejcie pokój — nie trza.

— Kwałaz Panu Jezusowi, co my sie téz  
Gód dockali.

— To wom téz powiem.

— He, moiściewy! Bedzie sie juz podwy-  
sało.

— Bedzie przymokało dnia.

— Pudzie juz ku lepsemu.

— Pudzie.

- Kieby ino luty przesel!
- Schowaliby my se kapce, a wzuli buty.
- A i swiento Jagniska wnet przyleci.
- He, moiściewy! ona wypuści skowronka z mieska.
- A swienty Józef głównie do ziemie włoży.
- Wte juz i ptoki przylecom do nos.
- I śpiewać nom bedom!
- I jar sie zrobi. To hnetki przeleci —  
Morcinku!
- Jesień je nogorso i przedgodzie.
- Wte strasnie otupno na swiecie.
- Bo syćko mortwe i swiento ziemiecka mortwo. Wte joby nie kcioł umierać.
- I jo ni.
- Ba we wiesne, to sie juz inacej widzi.
- Bo świat pohnie.
- I kwitnie, jaze cłek a ozbiéro!
- Jo ta o śmierzci nie myślęm.
- Jo tyz ni!

~~BIBLIOTEKA<sub>2</sub>~~  
~~URZĘDNIK TOMASZ UD: w KRAKOWIE~~  
~~SEKCJA IV.~~

— Niek se ta śmierć sama głowe łomie,  
kie nos mo wziąć.

— To jej rzec, nie nasa!

— Od cego by bęła?

— Kieby służby swojej nie robięła, dar-  
moby hléb jadła?

— Zębato!

— Bukówka!

— He, moiściewy — jej to juz nik nie  
rod widzi.

— Ino notarjus.

— A i ksiendzo.

— I groborz...

— Tenby skapoł, kieby nie óna.

— A bo by sie do kijani musioł hycić.

— To wom tez powiem.

— A mnie sie, wiecie Morcinku, śniło, cok  
umar. No, i jak jek umar, tak jek umar  
i posełek na drugi świat. No i jak jek zaseł,  
tak zahodze tamok, a to nie bęło ani niebo,  
ani cyściec, ani téz, Boze ta zahowoj, piekło,  
ino takie nic. — Pustka i pustka, ani zimi,



ani wody, ino tako przestrzeń — a ciemne i corne, jak djasi. — Myśle se: co téz ta dalej będzie? — Jaze jakisi duk ku mnie przylecioł i jak przylecioł tak przylecioł i biere ci mie za rękę — „hybaj — pado — Stasek przed sąd Boski!“

— He, raty! — westchnął Morcinek.

— Ba baj! tak mie wereda — Panie odpuść — ciongnon, co ani pojrzyć nie doł.

— He, raty!

— Anik sie Panu Bogu ni miał casu polecieć!

— Tak sie mu piliło i ciongnon ci mie w jakomsi dziure...

— No i jakoz?

— No i takoz, ze tamok my wyśli nad wode — strasnie montno śła, a juz tak prędami biło, co jaze do nos skało. „Hybaj — pado duk i ciongnie ci mnie we wode. Jo sie patrze, a tamok most z łańcuhów wisi! Jezus, Maryo, Józef! krzyknonek — z Budzyna sie wrócis, z krojświata przydzies, z Hama-



ryki przyhodzom, a z tustela nigda! I w te razy baba mie obudziła — rzece: „coś tak ten kufe ozdziros?

— He, raty, jako sie wom tez to śniło!

— To jesce nie koniec. Obrócić sie na drugi bok, gębom ku ścianie i zarozek ci usnon i śnije ci sie mi, ze idem juz po takim piknym kraju, co cud. Ani, Morcinku, pomyslenia, ani wypowiedzenie, kielo to tamok piknie béło! — Tele kwiaty, tele sady, co jaze tak cłeka ozbirało; to wom juz nie scekom — a ptoki juz śpiwały, to okowioki, mazoki, sieminioki, zięby, różne słowiki i rojskie ptoki — zje, jaki juz ptok na świecie, to syćko sie tamok darło.

To juz wom powiem, Morcinku, ze juz béło sie cemu napatrzeć i przysłuchać — e, béło.

— No i jakoz sie skończyło?

— Jescek wom nie dopedzioł. — Idem se tamok i słuhom i patrze i widzem, jako tamok świenci, cy jacy ta béli? — spaceru-

jom. Syćka młodzi, a pikni na gębie, co cud!  
Porami se śli!

— Tak sie wej wyzdajali?

— Tam juz jo ino bęł przez baby — no,  
i stoję se ta, a tu idzie jedna pora — i tacy  
jacysi, jak by sie mi ik miała myśl hytać.

Jazek sie ośmielił i spytołek sie: Prosem  
tez, niek mi tęż pedzom, co tęż to za kraj?  
„Kiedy nie słyse, bo ptoki śpiewajom!“ Pe-  
dziołek mu do uha pote — „cy ty nie wiēs —  
pedo mi ten duk — cy jaki ta bęł — ze tu  
niebo! he, zkondeś sie tu cłeku wzion? Dyj  
tu niebo!

Tu som jest ludzie — pado mi — spra-  
wiedliwi, co krzywdy ludzkiej, ani krzty, nie  
mieli na sumieniu!

I wte mie baba łokciem sturknyła, bo i jej  
sie cosi śniło — i obudziłek sie.

— Wereda! obieśica — ozgniewoł sie Mor-  
cinek.



JASIEK „Z POD MIEDZE“  
STOLICA.



~~BIBLIOTEKA~~  
URZĘDNIK TOWARZYSTWA UB: w KRAKOWIE  
~~SEKCJA IV.~~

— Telo ino proście Pana Jezusa, cobyk do wiesny dockoł, cobyk do lata dozył, to wom powiem o piéniondzak. He, sprościli-byscie sie godnie. Bęłoby za co gazdować.

Tak gwarzél Jasiek Stolica, syn Rejny „Z pod miedze“ — do braci, co siedzieli przy jego pościeli.

— E Boze, kieby sie to stało! He Boze! kieby sie ino wiesna zrobięła. Coby ta skorupina ślazła ze świata!

— He, Boze! Boze! Jasiu? — dokwolo-woł namłodszy z braci, a ciągnon dym z fajki, co jaze mu zyły na krztoniu wyłaziły.

— Jasiu! Jasiu! Nyści fajki!

Ale Jasiek ani nie požroł do brata; jakiesi zamyślenie go wzieno. Staro Rejna „Z pod miedze“ tłućła się po izbie; rzekomo posłu-

gowała, a w ocak wode miała. Luto jej béło syna, ze tez tak zamłodu ze świata zejść musi. Ona sie tak w tyk hłopcak cieszyła. Trzók ik miała i jedne dziwke i kie jom stary odumar, to Jasiek béł jej pomocom i ón tez na nieboscyka nowięcyj podany, noładniěj urośniony; a kielo jej napodawoł glajcorzy; ón jom nieroz spar.

Ino kie sie pote poznoł z Matejami, to syćko wybiegoł z dómu, co go case tydzień w hałupie nie béło.

W zimie to siadowoł dóma, ale kie sie juz wiesna zrobiéła, a jesieniom, e, to go ani zasknąć przy hałupie. To sie tez nieroz matka o niego tropiła.

Jasiek hodziéł „zbójnickim hodnike“ i tak sie mu scęściło, co bez pore roków ani mu włos z głowy nie spod. Piniędzy torbami z Luptowa nosili i howali haniok, po polak, jako to towarzyskie piniondze sie howały. Ale i na niego przysła kolej, jako na zbójnika przychodzi, kie wcas nie zaprzestanie

swojego rzemiosła. Ostatni raz, kie bël z towarzysami, Pan Bóg im nie doł scęścia.

Ka sie zabrali, to tamok sie nie dało — a wracający dó domu uradzili po dródze do zyda i tamok ik ogawa przysiadła. Ludzie owineni karcme, a towarzysio, co Jasiek bël ś nimi, nie trzymali sie kupy. — Ka wto móg, to uciekoł — ostoł ino ón z drugim towarzysie; ón sie ta w jakimsi miedzuhu łomół cosi bez godzine, ale mu pote toporzysko przy saměj ciupadze sie złomało i ciupaga fyrkła, a i postrzelenie w noge dostoł. No i wte go przewłodali, związali i do ryktora zagnali.

Kie ik pote osądzili w Lewocy i kie do księdza przysło uwiadomienie, to nieboscyk ksiądz z kozalnice na Jaśka publikowoł. — Straśnie z pocątku kozanio krzycoł na zbójników, ale kie pote zacon ludziom powiadać, jako sie Jasiek bróniël, kielo to hłopów bęło na niego, a jako sie łomół ś niemi; jako ciupagom zybrowoł i cysto piknie bëlby sie



wybrónieł, kieby sie to wej toporzysko nie béło słomało.

Jegomość krzycoł na zbójników, że wstyd parofii robiom, ale rod o nik gwarzêł, ze som jest hłopy, jak sie patrzy, ino wêj taki płony los majom!

Jaśka po rokak przywieźli z Munkacowa. Przywieźli go w zimie, przed Godami, ale ś niego juz zadnej pociehy nie béło. Z nogi tej, co go to w nie postrzelili, ino kości ostały — mieso hetki poodpadało, ino tako gicol béła. Dyc go i doktory lecyli tamok we śpitolu, ale mu kcieli noge oderznąc po same krzyze, a ze Jasiek na to nie przystoł, to go ta pote tak ostawili.

Jasiek, kie swoje roki wysiedziół, pisoł dó domu, coby wto pón przyjehoł; pojehali bratowie i przywieźli go w hałupę — ale cóz z tego, kie béł sietniok. Prógowali go kurować dóma — Matka góniła pomiędzy ludzi i zwiadowała sie i różnyk ludzi sprowadzała.

Ale cobyś ta! Kabyś ta co poradziół, kie

juz ciała nimo na kości! Bida coby ci nowe narosło!

Dyc i Spyrkowski stary hodził ku niemu i Z pod Wilka, z Orawy, jakosmi strasnie mondrom babe przywieźli i cosi bez śtyry tyżnie bęta u nik i różnie prógowała. To zające bili i ciepłemi skórkami noge mu okładali, to jom parzyła ziołami — selenijako prógowała, ale nic lepiej nie bęło, ba jesce coroz gorzej sie robięło. Pote ku Tymbarkowi hodzięła Rejna, tamok do jednego hłopa, co znoł sie na różnyh horościah, a i u kata bęła sie poradzić, cy syn jej co porobione ni mo, ale i to nic nie płacięło.

Jasiek hoćkiedy rod uradził z ludziami. Noracěj widziol Tomka z Błahówki. Tomek mu ta opowiadol, jako bęło tutok, zakięła ón tamok siedziol, bo Tomek z Jaške towarzysowol, a bęł hłop do rzeczy, to ś niem sie kozdemu fajnie ugwarzyło. Ale case złość przyhodzięła na Jaška, to juz nie dostępuj ku pościeli, bo kieby cie bęł hycięł w palce,

to tak ujął, jak kleściami; jaze corne ciało ostało, kie cie ścisnon; telo wěj jesce siły miół w palicach. Wte sie go — kie běl zły, trza bėło warować.

I tak lezoł cosi do ostatków. W nocy, kie bracia posnéni i kie matka harcała, to se hoćkiedy przemyślowoł nad świate i płakać sie mu nad swoim lose kciało. Wte świat taki pikny sie mu widzioł, a zycie ludzkie straśnie drogie, ze ścisnoł głowe i długiem kwilami tak běl. Roz, kie tak siedzioł, zemzył na kwile i takie pikne śnisko przysło ku niemu.

Zdało sie mu, ze to całe jego niescęcicie to sen, a śnisko to jawa. Downe casy na ślebodzie, w młodości wróciły — siły stracone ozyły w nim na nowo — i tak sie mu widziało, ze ón teraz w holak, z wirhu na wirh leci. Świat mu kwitnie, a ón telo scęcicia w nuku cuje, taki je młody i ślebodny, zeby furkoł z ptokami. I próguje — robi ręcami — jak ptok skrzydłami i zlatuje nad ziemie i tak

leci z upłazu na upłaz, jaze ponad źleby sie wznosi, jaze nad turnie wylatuje, kce krzyceć z radości, kce hań dołu zawołać!

Staro matka ślazła z wyrka i posła ku piecu. Kładzie suhe scypki na polenisko, ozduhuje, coby sie ognicek zajon. Zbudzono krzykiem syna, myślała, ze juz ostatnio nań przysła godzina, ze mu na skonanie idzie. — Kie ognik sie zatlił, posła ku pościeli i płacki jej zaceny kapać na posłanie syna. — „Jasiu! Jasiu! Coześ tak biół ręcami po ścianie? Coześ tak, dziecko, krzycało?”

A Jaś, pokielo sie nie opamiętał i nie zmiarkował, ze to ino śnisko bęło, patrzół nieprzytomnie na matke. Ale kie sie osotoł, to boleść go taka za garło ścisnena, ze ani pary hycić nie móg i gniew taki w nim zawrzał, ze od matki głowe ku ścianie obróciół. Matka posła na wyrek cympiec, a jego załość brała i lazła mu na ocy. Widzi całom swojom nędze i swoje sietniarstwo — a ludzie, ci, co to sie go boli, kie bęł zdrowy i na

ślebodzie, ci, co mu siły i hyru i urody zorościli, teraz stojom koło niego gromadom, śturkają sie łokciami, mrugajom do siebie i śmiejom sie ś niego. Pomędzy niemi jest i sołtyska z Grónia i patrzy sie nań — ale nie tak sie patrzy, jako wte, kie ón tońceł na sołbystwie w Biołem Donajcu — kie cało karcma hłopów béła, a po kątach postaneni, coby ón plac miół do tońca. He! bo ónby se plac zrobiół, kieby byli ino ś niem zoceni! Sołtyska w te w niego, jak w tęce patrzyła i oczami zjeść go kciała. A ón udawoł, ze nie dba o nie. Udawoł, a kielo rod jom widzioł!

I pote, kie go wzieni, ona się wydała za hrubego gazdę, do Rafocówki. — On syćko bocy te ocy. I w hareście nań patrzyły i dzi siok patrzom, ale jakosi inacej. Wycytuje cy i z pogardom patrzom, jakby pedzieć kciały: „Wis Jasiu! Wis! Na coś wej przyseł! Nie kcioleś na mnie patrzeć, a cegós si dockoł!

Tak cie wej Pon Jezus pokoroł! Wis dziadu miljoński! — Sietnioku!

Jasiek „Z pod miedze“ kciołby sie do zemie shować. Juz mu teraz nicego nie zol, ani młodości, ani światu — juz na nic nie dbo. Jednego ino pragnie — to tego, coby sie juz roz ś niém skończyło.

Kie go roz dóna odešli i kie som bęł — tak przemyślowoł o śmierzci — kcioł sie zycio pozbyć — namysłił sie zadusić. Ściagnon ze zyrdki zagłówki, pozawijoł do nik głowe — ale ni móg dać rady — pote sie mu nolekcej odyhało.

Pote głowom bięł o ściane, co jaze matka na polu usłysała; przyleciała do izby i zaroz zmiarkowała po niém. Od tego casu go pilnowała a i hłopcom przykozala, coby go z oka nie spuscali.

Jasiek widzioł, ze nic tak nie poradzi; umysłił se inacěj skończyć.

Bęła Kwietnia Niedziela. Słonecko miło-

~~BIBLIOTEKA 3~~

~~URZĘDN: TOW: WZAJ: UD: w KRAKOWIE~~

~~SEKCJA IV.~~

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN



siernie nad świate świeciło. Kopliny sie na polak robięły.

„Moze tego roku Pon Jezus wceśniej wie-snę nagodzi. Dyc tu nieroz i w styr nastym tyżniu orać zacynali. Ptoki juz przyleciały. Skowronki śpięwać zacynajom; dzisiok to tak nad Grónike śpięwały, co jaze piscały, bidoki! Pinki téz juz przyleciały. Ptactwo sie parzy. Telo inok mazoka nie słysoł — bo ten juz wte przyleci, kie sie naprowde wie-sna zrobi — jego nie przewiedzie“.

Opowiadół Jewin Tomek z Błahówki, co na Jaśka zojrzęc przysęł.

„Ale ta Bóg wié, jako to jesce bedzie. U nos to tu kraj zimny je — nowięcyj ino śniegu i psoty. Hoćkiedy, to w maju śnieg przytrzepie.. — Roz to taki przykurzól — a juz statek sytek bęł do hól wygnany — co by mu na Godnie Święta nie wstyd bęło przypaść. To wte sie moc statku wytyrało. Sytko to musieli z hól zganiać. Toś pote hoćkany zdeknientom owce naloz. Hań, po

Zakopanem, to do sieni i po izbak sie phały, kie sie Grónianie ś niemi z Małej Łąki nazod redykali.

Pojeden se w sieni owce abo jagnie naloż, co takie zglewiałe stoło. Tak sie to wej ku ludziom, do ciepła phały. Tu nieroz zima do Filipa Jakuba wytrzymie.

Roz bocem tele mrozy, takie dujawice, jakie na Gody bywujom, a tu juz w te mały moj bęł!

Tok zaseł do Firka na posiadu, a ón wysel na sope, poumiałoł na niej ostatki potrawy i taki kwas przynióś w palcak do izby i jagniętom za gródce ruciół. Tak strasnie wte zabiadkoł: „O Jezus Maryjo! Raty przeraty! Ludzie na świecie! Cy to juz koniec świata bedzie?“

Ale kie pote od północy przysel ciepły wiaterek, to tak śnieg ginon, co sie ino pieńiło ś niego i zaroz po nim trowka sie puscała i wnetki sie zazieleniło, co w pore dni ludzie juz po oborak statek paść mogli. —



Gwarzał mi zaś ociec nieboscyk, że roz tak strasnie długo trzymało, a ludziom potrawy hybięło — to nieboscyk Sobcok — ociec Sobków i Stasecków i Johymów — wygnoł statek za wirh, do lasu i tamok go zarąboł (śasieki porobił — ogroził) — i bęły cosi z tydzień i wyzyły, co sie ani jedno nie styrało. Bo to lasy wte hrube bęły, to se mek obierały po smrekak i cetyne gryzły. Pote, po tyźniu popuściło. Dyc juz Matki Boskiej zabicnej bęło (Zwiastowanie), a na nie sytko gadzino ozywo, a i niedźwiedz sie ruso i z dziury wylazi.

Ale ta jesce nie bedzie ciepła, po kielo „luptok kłobuka za Cerwonego Wirhu nie pokaze“ (halny wiatr) — i co ci „dwa hłopi (św. Filip i Jakub) wejdom na granie“ — to ten „bioły bedzie sie broł dołu wodami, co jaze suściało bedzie“.

Jasiek ku Tomkowi głowe obrócił i pado : Kieby sie ino tamok dostać — kieby się dostać — to byk wom napokazoł. Tak z mowy

nie potraficie. A jest hań kupa tego — cosi ze dwa razy my z Luptowa przynieśli“.

Bracia jego zaceni z Tomkiem radzić, jako by to zrobić, coby tu poradzić — jaze namysłili. I skoro sie ino na drugi dzień z rania na polu ociepliło, wzieni Jaśka i nieśli, ka było wyginione, a ka śnieg bêt, to go na soneckach po śniegu wieźli — jaze go do źródła u Kościeliskiego źlebu donieśli. Pote sie im kozoł nieść pod turnie, upłazem na prawo. Śnieg do słonecka wyginon i skosami wyśli na siodełko.

„Jesce końdecek, jesce hań za ten turnie mie wynieście“. Gwarzêt Jasiek. — Oni béli hłopi przy huci, a kozdy w takim zohyceniu sił dokłado i dosykowali go na góre. Kie go tamok ułożyli, Jasiek zacón po świcie ozpatrzować — bratowie zaś jego z Tomke z Blahówki nakładli do fajek i wyciągneli sie na płašience.

Po scytak śniegu jesce mocki. Bystro jesce bielucko ino do słonecka je niebiesko

i do słońka tak się błyscy, że jaze ocy bolom patrzeć. Ón ozpatruje się po wirhak — zno tu kozdom turnicke, boć je z Polon rode, a Kościelisko dolina do ik wsi się patrzy. Od małości tu owce pasół. „E, były to casy, były“.

Na kozdom polane popatrzoł. Świat telo je pikny! Hnetki się tu zazieleni, wiesna się zamai! Syćko ozyje na nowo, ino ón sie-tnioke ostanie!

Ocy sołtyski z Gronia migneny przed jego wzrokiem — zaciemniły mu ten świat cały.

„Wis, Jasiu! Na coś to przysęł! Wis sie-tnioku!

Zazwoniło mu w usak i tak niēm zatargało, co syćka słość w nuku zawrzała.

Jasiek „Z pod miedze“ Stolica dźwignon się na jednej nodze i hipnon na łeb z turnicy.

WDZIĘCZNOŚĆ.



BIBLIOTEKA  
URZĘDNI: TOW: WZAJ: UB: v KRAKOWIE  
SEKCJA IV.

Z ludziami trza sie zgodzać, nie robić despetu jeden drugiemu, bo cłek nigda nie wie, jako mu kie wyjdzie. Nie wie cłek, wto go kie moze zeprzeć i zratować.

Dyć jo wom tu powiem, jako roz braciom Krzeptowskim wyjechało. He! dawno to béło, cosi we dwa roki po reberyi hohołowskiej.

Kojsowie juz wte wrócili ze Śpilbergu, a i Styrcuła z Dzianisa wrócił, ostoł ino ksiądz Kmietowic i organisty Andrusikewic, a i urlopnicy Mihoł Scurek, Józek Wolos i Hanuscorz, bo ci béli we wojsku przódzi, to pote we Wiédniu w garnizonie siedzieli. Słyhu tu wincy o nich nie béło, pewnie tamok juz wygineni.

Casy wte strześnie ciężkie béły, głodowe roki nastały. Owies skredziół, grule gnły,

bida bęto co kany kupić. Morcin z pod Blahówki cosi trzy tyżnia jeździł po Węgrach za siociem, ni móg nikany nic kupić i na-próżno wrócić. Kie wseł do hałupy, sytka patrzeli, jakie im zycie przywióz, a on wzion piniondze, rzucił na środek izby i pedziół: „jedzcie dzieci“.

To ludzie wte i trawy sie juz hytali, jedli warmuz, łobode, scerbok — ten oset, co po młakach rośnie — liście maku. Siedziała dziadula u Jasiśka — to nasiała maku całom grzynde, warzyła te liście i Jasiśki jedli. — Ślaz, babkę, co po ogrodach rośnie, jedli — wselenijakiej trowy sie hytali. Pokrzywy warzyli, pyrnice mleli — te korzonki ś niej płukali, suszyli i mleli — dobro bęta mąka ś niej. Liście bukowe, a i skorupinę z buka łupili, susyli i mleli, miesali z mąkom i piekli moskole ś niej. Kie se zbacem, to wom powiem, ze byk nie kcioł drugi roz tego dockać, he wolałbyk, coby mnie Pon Jezus



wzion, bo choć cłek by miał co jeść, to na drugik nie przepatrzes!

Dziadów wte to telo béło, — co jeden wychodził, a drugi wchodził ci w hałupe. — Hoćkanyś dziada naseł przy drodze skołcanego — tak marli z tego głodu.

Gwarzéli, ze jacysi ksiendzo jezuwici jeździli po świecie i oni taki głód sprowadzili. Pono zycie, grule, cy owies pochowali do zimi. — Wzieni nasuli grul, cy tez owsa do truchły, odśpiéwali rekwije i tak, jak trupa do grobu pohowali.

Dyc tu i u nos w Zokopanem béli ci mi-syonarze, bacem — to jeden ś nik, taki siwy ksiondz, kie miał kozanie, to se ino telo gwarzeł: „E! ludu! ludu! jedna strawa się odeńdzie!“

To tez sie pote widziało, co grule syćko pieknie wyginom! Jesce do tego ozruh się zrobiel na Węgrak, Kosiut zacon z cysarzem wojować. To brali tu od nos hłópów — wzieni Jasia Gadeję, z Gładkiej kogosi od

Jędrasiów i za Wilcnika jednego hłopa. To ino do uspokojenio przysięgali. Jak za rok ułożom Kosiuta, to za rok sie wrócom, a jakby i dwaścia roków trza béło ś nim wojować, toby telo służyć musieli. To śli za Kosiute bez całe Węgry. Jaś Gadeja to mi gwarzel, jakoto béło — a Kosiut sie ino cofoł — tak, co jaze trzy razy całe Węgry w kółko obešli, a śpiewali :

„Na kosyckiej horze cerwina nastala,  
Na budzie wisiála Kosiutowa głowa;  
Kosiutowa głowa, Kosiutowe nogi  
Tam bedom wisiály śrybelne ostrogi.  
Kosiucie! Kosiucie! marne twoje życie,  
Kie jo sie uwezmem, pudzies na przebi-  
ciel“

Wte to wej wybrali sie bracia Krzeptowscy na głuchanie pod Krywań. Pošli do Hlińskiej doliny, do Gołyk Wirhów luptowskik. Przenocowali się we Wirkcichej i jak sie przenocowali, tak poseł Józek — ten co był we mły-

nie — z brate Jędrka do Hlińskiej, na jedno homisko — a Sabała z Wojtusiem — co miał Gackulę — na drugie. A luptoków seści bęło z Leśnickim a Krzeptowscy o nik nie wiedzieli. Luptoki na wobkę bijom, jak zlatuje ptok, to go na ziemi bijom. Nie wiedzieli naši o tem, bo u nas, z tej tu strony, to podkradajom sie pod drzewo i na drzewie go strzylajom. Jak sie oześli rano, tak idom kozdy w swojom strone — słysom: Klepko! Pirsy wpod Jędrak między luptoków, pote Wojtek, bo oni śli i wypatrzowali na drzewie, a tu odrazu luptocy wyskocyli z wymierzonymi flintami — kurki odwiedzione — krzycom: „Stój! bo prysam Bohu strylać budul“ Józka ostatniego hycili; ón zacon im uciekać, skocyl na wykrot, bęł zakurzony śniegem, myśloł ze brzyzek i wpod między gałęzie i tamok go hycili, no, i prowadzom ik w Luptów. Sabała uwidzioł z drugiego boku i patrzy, cyby sie jako nie dało, coby na

strzał syćkik seści wzion. Kieby bét miół dubeltówkę, toby bét doł rady, bo mu sie roz wyporządkowali, coby ich bét syćkik trefił, ale miół na krzemień, boł sie, ze braci trefi. Tak jak juz widziół, ze nie do rady, wzion i namysłół iść ku nim, myśłół, ze ik wykupi. Miół trzysta reńskich siajnych. Poseł ku leśnickiemu, doł mu te dudki, doł mu i pas, miół ładny — ale cobyšta! Leśnicki wzion dudki i pas i kazał Sabała związać. Sabała sie nie bróniół; myśli se: „majom óni cierpieć, cierpmy syćka wroz, bedom óni wisieć, niek wisem i jo!“ — nie broniół sie. Lup-toki obdarli go z odzienie, rzemień od kerpcy wywlekli, serdok wzieni i gnali ik w dziedzine, jaze ik zawiedli na Pribielinom do ryktara.

Jak ik tamok zaprowadzili, tak zakuli ik i obstawili wartom; po dwok ludzi stało ze siećkiramami przy oknak i dźwirzak. Leśnicki posłół nakoz do grófa, do Mikułasa, ze tak a tak sie stało, ze pohytali Poloków przy

głuhaniak — i pošli pote do karcmy pić. — Pili w karcmie i ozpowiadali ludziom, jako poloków pohytali, jaze przysel z karcmy jeden hłop ku Krzeptowskim. Luptak whodzi do dźwirzy, a Sabała patrzy i zarosieńki ocy zamrózél, rzekomo śpi, ale luptok go poznoł i pado: „Ty sim ptasiccku, jo cie znom! Ty ino udajes, ze śpis — cy jako mu ta pedzioł po liptowsku — ale ty — pado dobrze cuwos. My sie spotykali w tyk horak!“

I wzion Sabałe jednom rękóm — wzion i prasnon do drugiego kąta. Luptok bél hłop, jednom rękóm wzion i prasnon jako sajte w kąta. Hłop bél, ale kie sie spotkali kany, to gnał przed Sabałą, boby bél obies strzełił do niego. Tak nieroz uciekoł, jaze dudniało. Ale mu ta juz pote nic nie robiel, bo mieli zakozane od leśnickiego, ba wzion i wróciel do karcmy.

Na drugi dzień przysli grófi, trzók: Denko gróf, Dziuro i Aduś, a stary gróf bél w Mi-

kułacie. Ryktar mówi im, że Krzeptowskich połapali — spytali sie go: — „Keny?“ — „w Hlińskiej“ — „co dziełali?“ — „Polowali na głuhanie“. Pogodali z tém ryktarem i przyšli do nik, cy som prowdziwi Krzeptowscy: Jakjeście prowdziwi, jednego pušcomy z vos, wtóry kce, coby przyniós zošwiacenie od wójta, od księdza i ze sądu z miasta. Jakjeście prowdziwi, to vos pušcimé“. Józek poseł, ale ledwie poseł, kie se przybocyli, ze baca jest, co hodziel do Polski i on ich pozno i posłali po niego do Mikułasa.

Posłali lešnego, napisali pismo do ojca — lešny zaseł, grof pisanie przecytoł i pedzioł: „Jak som jest ci prawdziwi Krzeptowscy ze Zakopanego, to jém dom pozwolenie na polowackę od Gołyk Wirhów po Hradek“ — Lešny bace przywiód, baca zaroz ik poznoł: „To jest — pado — Jano. Tamok zaś Andrzejko. Na Wojtka juz nie wiem, jako pedzioł, cy Dziuro, cy jakosi ta“. I znowu



wysłali leśniego do grófa. Gróf kozoł swojej babie spyrki urznać, naryktować chleba i posłał im to na droge i ostro przykosoł, coby im syćko oddali, co im wzieni; trzysta reńskich siajnyk musioł leśnicki wrócić Sabale. Straśnie mu po nosie béło; narzykoł pado: „Cemuzek ik nie wypuścił za wykup!“

Telo ino kazoł im ten gróf pedzieć: „Ze wos wej przywieść musieli, a jo sie tak wasego ojca spodziewoł, a nie przysel ku mnie“. — Gróf pote telo ino Panu Bogu dziękowoł, ze ich do urzędu nie oddali, bo to wte reberya béła na Węgrach, to kozdego obcego, kie go z broniom w rękę hycili, to zaroz na śmierć sądzili.

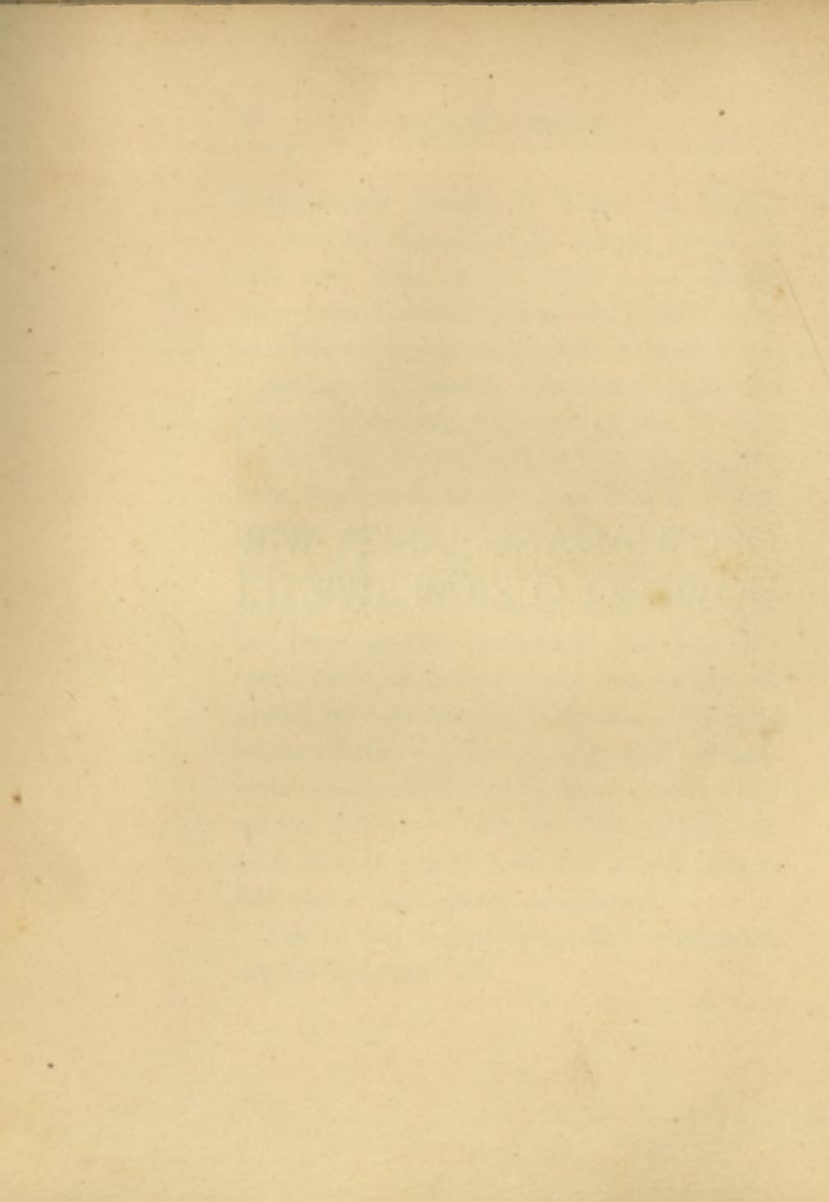
Krzeptowscy hnetki pošli do domu, ale juz we Wirhkamienistej Józka spotkali, co juz sël z papiérami z miasta. Tak wej bidok lecioł, co za jeden dzień i noc z Pribieliny miasto obeseł i na przełęc Kamienistej dolecioł. Hej to downi trzymali sie horni hłopil



Krzeptowscy bracia, to jeden za drugim w ogieńby skoczył! A ze starym grófe, to tako rzec béła, ze roz temu panu wyzdychały owce i musioł posłać do Polski nakupić. Baca poseł i Krzeptowski hodziół s nim i pomóg mu nakupić tyk owiec, jesce mu pozycył piniendzy i zaręcył za tém panem, bo dudków bacowi hybiło i to tak dziwno béło temu grófowi, ze jego tak w Polsce znajom, za co, ze go Krzeptowski nie znoł, a takom mioł wiare ku niemu, ze mu pozycył tysiąc, a na drugi zaręcył za nim, ba! jesce pomóg przepędzić bez Kamienistom, coby na Suchej górze racicowego nie płacić, bo wte między Węgrami a Polskom kómora béła. — Nieroz stary gróf odkazowoł na Krzeptówki, coby Krzeptowski przyseł ku niemu, — ale to Krzeptowski nie mioł casu i pomar i nie béł z tem panem. Ale ón sie wej synom odwdzięcył.

Tak to wej drzewiej przyjaźn i wdzięčność między ludziami béła.

OPOWIADANIE JAŚKA WIR-  
HOWEGO O ZIEMI ŚWIĘTEJ.



„Wtorędyz jehaliście w tamte strone ?

„Wtorędy ? Zje, bez Tryjest, pote morzem osiem dni i osiem nocy — na Kretę i do Jaffy. Pirse trzy dni to sie jedzie koło brzegów Litalii, to do trzeciego dnia widno te włoskie góry; w takięj pomłoce sie ukazujom. A potem juz nijakiego lądu nie widzicie, ino kie sie jako wysepka po dródze zawadzi. Sóstego dnia to sie do Krety dojezdzo — to zdaleka góry sie na niej pokazujom — pote do Jaffy. Tam my wysiedli i kolejom dalej, bez takie okragłućkie góry do jednego miasta mimieckiego się dojezdzo. A stamtąd trza kónmi do Jerozolimy, do Betleem i do Jeryho.

„A jakoz tam ziemia ? Bo Pismo święte mówi, że mlekiem i miodem płynąca.“

„He, moiściewy! U nos to tak, co syćko urośnie, co wsadzis i wsiejes do niej — ale tamok pustka; ino skole, piosek i góry. — Ale tam góry nie takie, jako naskie Tatry; ba jedna w drugom okragłućkie, jak wirh kapelusa — ino takie bule.

Mało tam, wicie, ziemie. Ino w tej mimieckiej kolonii tok widziół spory kawolek; to jom ta uprawiajom, siejom zboze i domy majom do rzecy, murowane z cegły. Ale dalej to bida uwidzieć więkxy kawolecek ziemie. Jak ta majom jaki skrowek, to zaroz na nim sadzom winogron. Jo nie wim, jako to rośnie, bo hoćkany na skale i na płonej ziemi wsadzone, a bujnie rośnie, — takie ino syski, jak mój tytek, a jagody duze. Nima tam ani polików przy nik, ba sie pnom po ziemi, takie bujne, pokręcone kónory, jak gałęzie na holnym smreku. Kie my wysiedli w Jafie, to jo kupiół tego winogronu z pół wirtelika — taki godny kosycek. To wom powiem — kie włożys jagode do gęby, to

je przez mała jak śliwka — a słodkie! Ale to się wom przyje; jo na to pote ni móg patrzeć. Maciek, mój zięć, dyj go znoćie — Sulatego Maćka — to ón ta zażirol do kossycka — ale jo ni.

„A jedzenie jakieście ta mieli.

„W Jerozolimie to pańskie — ale to sprowdy pańskie — bo na morzu to płone. — Tam syćko ino na parze warzą. To mieso nijakiego smaku nimo, telozbyście pomywac zuli. A na rosole to jus oka nie uwidzis, ani telego jak śpilcy łeb. Bułki to piekom z takiej ryzowej mąki, to kolwicek taki smak majom, jakbyście siecki zemleli i przypiekli. Jo tam nie jeść ni móg, ani inni nie jedli. To kozdego dnia telo strawy w morze prali, cobyś niom pięć fesiackik świń howoł. — Bułki, te wcorańse, to kie wsuli w morze, to takim snure, jak stąd ku kościołu pływały.

„A tam nie mają świń na okręcie?“

„He, majom! Cosik ze trzy widziol, ale nimo do nik gaździny, to je ino takie hłop-

cysko obsługuje — to kie se przybocy, to im ruci. Majom i woły i siano lo nik. I świ nie tam kolom i woły bijom i barany rzeza-jom; tam syćko majom, ale to wiecie nimo porządku — przez gaździny płono idzie.

„A w Ziemi Świętej jedzą mięso, bo tam podobno owocami najwięcej ludzie zyjom?”

„O jakże! Majom barany, howiedzine. Roz gnali barana — to sie mnie zięć pytoł: — „ociec, co mu tez zrobili?” Jo padom, ze nic, ino je telo wypasiony. To wom powiem ze w ogónie telo łaju mioł, jak ten gornek. Jo hań i w rzeźni bęł, tok widzioł, jako bi-jom. To wom nie scekom, ze na baranie telo łaju, jak spyрки na świni. Tamok liściami z winogron wypasujom barany, to z tego strąśnie tłuśnie.

Jerozolima, to nie tak duze miasto; za pół dnia go obejdzies dokoła, a i drózki — wie-cie, ta droga krzyzowa, to miejsce, jak na Kalwaryi (Zebrzydowskiej) — to stacyje sie wnet odmówi. — Ino w jednym miejscu, to



Turcy замуrowali, co trza godny kawałek obhodzić.

Ztamąd niedaleko do Ogrójca. Piekny tez to ogród — tele kwiaty — tam siedzom zakónnicy, co do rzecy ten ogród uzdajali — ale to porobili, jak sie patrzy, Panie święty!

Z tego ogrodu do miejsca, ka Apostoło-  
wie zasnęli, kie im Pon Jezus cuwać kozoł,  
to bedzie telo, coby hłop kamienie dorucił.  
Widno stamtąd i to drzewo, ka sie Judas  
obiesił. Jo bół przy tem drzewie. Ale ta juz  
ś niego gnatka (pnia) nimo — ino od ko-  
rzeni puściło — bo gnatek ushnął, kie sie  
na nim Judasisko obiesiło. To z Ogrójca do  
tego miejsca telo bedzie, jak tu, od tego  
zyda doktora z Marszałkowskiej, do jałowcy,  
ka sie Jagnisia Mihałkowa pobudowała.

Do tej drogi krzyzowej, to sie idzie bez  
takie wąskie ulice; tambyś sam nie przesel,  
boby cie tam na lotku obdarli, ba z kom-  
panijom sie idzie. To przed nami sel jeden  
policyjan, a drugi za nami, na zadku, ze sa-

blom i nohajem. Tam taki ścisk! Telo kóni, wielbłądów jedzie, wiezom towary, a turcy se siedzom przed domami; noge za noge mo założonom i fajke kurzy. Piporasisko to na pół siągi mo długie, a dym to mu bez wode przechodzi, coby sie dystylowół.

Taki hań kwas — przepytujem — smród! Tam ci na hodniku naporządzi i to tak ostatnie. A kón, abo sumar, abo i wielbłąd jak z nóg spadnie, to ino skórę ś niego złupi i tak go tam ostawi — ka skapoł, tam gnije. Toz to psuje powietrze. Strasny tam kwas — a i bida; jo tam napół nagik ludzi widzioł! Tak wej moiściewy! Tam płono! Panie święty!

Ze staryk murów to jesce kawołek ostało ze świątyni Salamónowej. To ten mur bêt robiony z takik kamieni, jak ta płaza w ścianie wzdłuć — a syrokik, jak ten stół. Na kostkę te kamienie obrobiali i ś nik mowali. Tego muru kawołek stoi, a rešte domurowali pote — to zdaleka sie bieli. Hań

nos zawiód nas przewodnik — ón tam juz dwaścia roków siedzi — ón mimiec, ale po nasemu troche zno, a doreśty mielimy tłómaca. To, co ten ksiądz przewodnik mówił, to nom to tłómoc opedzioł.

Tam, ku temu murowi shodzom sie zydzi na modlitwe. Do środka ik ta turek nie puści, ale przy takim rozku sie shodzom, no, i kie sie juz pozgoniajom, to taki lament, taki harfut robiom; jesce jak zyjem, takiěj załościk nie słysoł!

A płacki, to sie im tele z óc lejom, jak bób! Taką wrzawę, takie wojcenie, takie jojki — a tak głowami o ten mur bijom, ze se myślę, no to juz bedzie sądny dzień! Ni mógek tego przesłuchać; mówiem do księdza: „Jegomość! Hybojmé! Bo sie mi jaze cosi robi!“ Byłek tam z kwadrans godziny.

Za tem murem, to turcy majom macetę (meczet), hań juz zyda nie puści. My przysli tam ku macecie i jo kcioł zajrzeć, jako ta majom we środku. No, i tak zakukujem bez

dźwirze — i widzem, jako te tureckie panie siedziały na ziemi, na takik sitowyk liściak, a turcy ka inędy sie modlili, bok ik przy tyk paniak nie widziół.

He, hłopycy! Kie mie uwidziół turek, to tak łupnął dźwirzami, co Bóg świci, — cok miół cas głowe uhylic, bo — psie drewno — byłby mi jom cysto piknie ucion. Tak sie ozpajedził, co mu na te panie zażirom. Dopiro jak óni skóńcyli modlitwe, to nos wte puścili. Przynieśli ze trzy korce pantofli i wyzuli. Bo hań, wicie, tak, jak u nas do kościoła, do ik macety nie pudzies, ba zobuj kerpce, cy buty, w cym ta hodzis — i bier pantofle — no, i wte se ta siuruj do nuka. Było pojedno takie pantoflisko, cobyś miarke grul wsuł do niego.

Te macety, to syćko ino brane do okrągła, ale tam w nuku ładnie. Ółtarzy ani świętyk ni majom, ba ino tak, jakbyście do zydowskiej bóżnice w mieście zašli. Gołe ściany, ino na śródku majom mur na osiem grani,

trohe wyższy, jak na hłopa i z kozdej grani słupek idzie ku górze i tamok w górze takie niebo na nik wisi. To hań tak piknie majom uzdajane, takie wywijanki, takie pozwykładane, to marmurami, to pozłotami.

Do znaku piknie to uzdajane i bogate.

W jednym macecie to majom takom grote pod spodke. Nie duzo jest; tak bedzie, jak zwyczajno izba, a na wirhu w tyj grocie jest otwór, tak prawie, coby sie cłek nim spuścił. To gwarzom, ze w tyj grocie Eremios prorok pokutował. I kie sie juz wypokutował, to prościućko tom dziurom do nieba fuknon.

Dzwonów ta ni majom w macecie, ino przed dźwierzami na linak wisom dwie deski; jedna blahowa, a drugo z jakiegosi drzewa; to jak trza zwonić na modlitwe, to przydzie turek z jakomsi połkom i beu w jedne — i beu w drugom — i tak wali roz w ten, drugi roz w ten — i tom burniawom zwołuje ludzi do kościoła.

Tak wej, moiściewy! co kraj, to obyczaj.  
Panie święty!

A przy grobie Pana Jezusa to ładnie! —  
Alek tam już nie ozpatrzował, inok się mo-  
dlił. Ten kościół to majom trzók — kany  
jest grób Panajezusów. Majom ta i nasi, to  
jest my katolicy — częśćkę — i greckoshy-  
zmaty i ewangelicy. Już ten kościół jest  
trohe poobdziérany, takie plastry ze sklepie-  
nia lecom, ale się nie mogom pogodzić ci  
trzók ze sobom, jako go majom odnowić.

Tam przy grobie Panajezusowym stoi taki  
grek shyzmatyk, copke mo wysokom i tak  
doprosta przy wirhu ucientom. Mo i wąsy  
i brzode, tak równo ustrzyzonom, a włosy  
mo tak podstrzyzone, jak u nas drzewiej no-  
sili. To kie mu dos ze trzy grajcorze, to kropi  
święconom wodom. Baby mu ta rucom —  
wtoro głupio — ale jak mu nic nie rucis,  
to się tak brzyćko na cłęka patrzy, jak wilk.

Tam się shyłonym shodzi do grobu Pana-  
jezusowego.



Ztamtąd nie prec ta sadzowka, ka święty janiół trędowatyk uzdrowioł. To jej bedzie telo płasienka, cobyś słabom ćwierć owsa na niej wysioł.

Tok sie napił téj wody, telo ino, jak mały kielusecek — to wom powiem, cok jom trzy dni w zoładku cuł.

„No i pocozeście pili?“

„Dyc jek po to pojéhoł, cobyk syćkiego wyprógowoł. A i w Jordanie to mątna woda; mułe jom cuć, kie sie jej napijecie. Kie my przyšli ku studnie Matki Boskiej, to se myślem, tu sie juz napijem wody, bo tu studnia cosi je na trzydzieści metrów głęboko — ale ka ta... I tam ciepło woda — nie bees pił! Wysukołek i piwo — majom takie butelkowe, jak i u nos — hań piwo nie drogie! Ba ino korune za butelke.

„To na furkarzy zakopiańskich tamby źle było!“

„He, moiściewy! Hoćbyć go pono na łańcuhu uwiązoł, toby sie urwoł. Taki przez



piwa, nie będzie. To wiecie, to piwo, to je takie jak mydliny, abo końskie ... A i wina ni mógek pić, ino telojek włoł do śklonki, co dno przykryło, a pote jek wodom dopełniół i tak jek pił. Maciek, mój zięć, to pił wino, ón ta i na okręcie jad i nic mu nie béło. Mo jesce, wiécie, zdrowe sumienie. — Ale jo, kiebyk wypił takiego wina, jak tam dajom, śklonke — toby mnie, wiera prasło— i śpi hłopie! Hań wina tęgie majom. Przez wody tok tam cliwiół. U nos to sie napijes i z potócka i ze studni i ze stawu i nic ci sie ś niej nie robi — ale tam ni. Jo ino telo na morzu zjod, jak bół makarón z oliwom; mie sie oliwa dobro widzi. Jo byk wom na masło nie patrzół, kiebyk takom miół oliwe, jako tam abo we Włochach majom.

Widziołek i Wieze Dawidowom. Ale to nie tako wiezo, jak jo se myśłoł, ba ino je tak na śtyry rogi prosto ku górze mурowano. Tam trohe wyzej, to som takie fi-lorka w rogak. Tego storoświeckiego muru

jest jesce trohe od spodku; to w nim som takie śpary, bez cas wyrobione, wiécie, od starości; — a ku górze to mur pote dostawiony.

W tamtej stronie spotkalimy te tureckie panie, co som tak w odzinie pozawijane, ze ino takie bule po nik, a końca ani początku tego odzinio nie widno. Jo nie wim, jako to iść moze, kie nic bez to odzinie nie widzi. Dopiro, jak nos usłysały, to jedna ozdarała na oku odzinie i pożrała na nos bez te śparke, ino tak półoke. Jo se myślę: tak wej patrzy, jako Lemko z Gładkiej bez przeziór na liski“.

„Juz — pado mój zięć — turkowi nik baby nie urzeknie, kie je tak do znaku pozawijano“.

„Padom: — co kraj, to obyczaj! Ale wom powiem, ze je do znaku pozawijano! Panie święty!

A kapelusa to juz tam na turku nie uwi-dzi. Weźmie taki bioly ręcnik i krajem po nad coło i po usak gwinnie i tak hodzi.

BIBLIOTEKA 5  
URZEDN: TOW: KRAJ: UB: w KRAKOWIE  
SEKCJA IV.

Kie my jehali do Jeryho, tok widzioł z mile kraju, co ani jednej trawki na nim nie béło, ino piosek, skole a popiół.

Widziołek hań dziwnom rzec: to wom powim, nie bojkę, ale świętom prowde. Tozto kie my hań jehali — a tam sie takimi wirhami jedzie — co do góry śtyry konie sam powóz majom co ciągnąć — a zaś do Jeryho, to sie tak z góry na dół zjezdzo, jakby ze Świnicy prosto do Homer. Samo Jeryho to je showane w dolinie i tam juz — Panie święty! — wirh gorąca. Hań my mieli nocnik w kamienicy, na piętrze; tok sie do znaku pozewłócył, a pote jesce wysel do pola, cyby sie jako nie ohłódzić — ale cobyś ta...! Syćko ino sie ciurecke ze mnie woda loła. A i kumory tnom; to mie tak pokąsały, co ino bule po nik sie porobiły. To wom powim, ze kiebyś w lecie, kie wor na polu, postawił w tej izbie śtyry piece i napolił w nik jak sie patrzy, a pote zatkoł

okna i dźwirze pozawirol — to wom powim, zeby sie jesse lepiej oddyhało, jak mnie w Jeryho. Nieroz kiek tak zemzył, to sie mi zdawało — kieby hoć jakom małom spar-kom hlipnąć nasego powietrza. A popiołu drógami, ta tak kie sie idzie, to wyzej kostek; kie wiater duhnie, to światu nie widno, telo go wiater niesie.

No, alek wom nie dopedzioł o tej rzeczy. Przy dródze, jak się tam jedzie, to jest muzeum. Tośmy hań wešli dó niego, i tamok jek widzioł kości z takiego dźwirza, coby cłek ani nie pomysłoł, ze mogła być na świecie tako stwora. Takom mioł wziętom ku przodku kufe, jakbyście ręce wyciągli i złożyli. Zęby mu na zęby tak przychodziły, jak palce na palce, kie dłonie złozycie.

Pote zaś były kły i łeb jak piersi u cłka.

Kolwicek takie mioł kufisko, jak kowalskie klesce. To juz musiała być wereda! Pannie święty.

Widziołek hań i piscolec, co miół lufe, jak trombe ozsyrzonom. Tok go kcioł kupić; dawołek temu hłopu, co tyk rzecy w muzeumie wartuje, dwaścia korón, ale ino głowom skręcił, ze go nie przedo. Bo takom rzec wartałoby kupić, hoćby ino tak, na pokazyjom, coby sie mu nascy ludzie napatrzyli. Hań, w tym muzeumie, to tak nie doziera-jom cłka, jako u nos. Tambyś hojco swi-non.

Widziołek tam i rzeźbiorzy, co w kamieniu robiom, ale to nie tak, jak u nos, co se na warstacie rzeźbi. Tam weźnie skale, przekopyrtnie i kuje w niej takiemi sydlami. — A telo je zakurzony, co sie mu ino ocy świcom.

Byłek i przy Martwem morzu. Óno je nie syrokie, ale mo być wzdłuść wielgie i syćko zburzone. Hoć wiatru nima, to fale, jak bez ten izbe siuhajom — takie je zbałamucone. Tamby cie wnet zasulo. Jak sie ino kwile postoi, toście juz po kostki w piosku. Te fale

to wyrzucajom piosek z wody, to tele, jak bób, jak groh; a ciepłućkie i ani sie nie naspo-dziejes, kie ci juz nogi zasulo.

Tam sie pojedni kąpali w tem morzu, jo ino gębe omył tom wodom, to mi bez długi cas śmierdziała.

Jak my wracali ztamstela, to nom w jednym miejscu na zakręcie kozoł furman sprościć. No, i sproscali my takim źlėbkem, pomię-dzy turnicki; idziemy ze zięciem, az tu wysel ku nom z pomiędy skoli cygon. Hań wolno cyganowi mieć rewulwer, sable, flinte. No, i wysel z takim długiem flinciskiem, zastompił dróge i pado: „Daj badzi (bak-szysz)! Jo bedun (beduin)“ — zaroz pedzioł jak sie pise.

Jo wyjon miehurek z habrykom, dajem mu scypte habryki: mos tu — padom — bage; zuj.

A ón ino gwarzy: „Daj badzi!“

Jo wzion grzebść w miehurku, a zięć po kiesionkach — tak, wiecie, ino na despet,



a pozieromy, skoro powóz nadjedzie. I tak my go kwile wybawili, az powóz nadjehoł i my wte hip na fure. To tak nom rękóm groziół...

A jo se myślę: Kiebyk cie u nos do-  
stoł, tobyk ci doł „badzi“, cobyś mie po-  
pamiętoł.

Tam sie strześnie płony cłek zawadzi; ze  
jako ten tu i u nos; jest dobry, a jest i zły.

Ale cygon takiego prawa u nos nimo,  
coby po drógak z flintom ludziom zastempo-  
woł.

Kieśmy béli w Nazarecie, tok kupowoł  
korónki. No, i pokupiłek i spularyzek do  
kieseni howom; a tu skondsi przyleciało  
cosi ośmiu takik hycloków i obsiedli mie.  
Bóg świeci, co policyjon uwidzioł i przyle-  
cioł, co mie wybróniół od téj zgrahy. Bok  
jesce mioł cosi z ośmdziesiąt papierków, toby  
mi to cysto piknie béli wzieni. Policyjon  
ik ozpłohoł. Jo ino telo, cok jednemu doł  
pięściom w łeb na odhodnem.



Tamby cie wnet tak uryktowali, cobys ani na dróge nimioł. Panie święty!

„A jakożeście sie ś niemi dogadali?

„Tam duzo znajom po nasemu. — Dyc i ten cygon — psie drewno — trohe znoł. Tam po sklepak to wom tak bedzie rahowół: — jeden, dwa, trzy — jaze do dwudziestu wyrahuje, kie wom wydaje. — Hań sie po polsku dość zgodo — ale we Włohah to juz nic po nasemu nie znajom.

Jo, kie jehoł z pielgrzymkom do Rzymu, to we Wenecyi prógowółek godać — alek sie ś nikiem nimóg zgwarzyć. Tam tez pikne miasto, takie je na wodzie pobudowane, ale i tam śmierdzi; bo to seleniejaki kwas wlewajom do tej wody i syćko spływo do kanałów, a i wilgoć od tej wody, to powietrze złe. Kie jedziecie łodziom bez kanał, to ino łódź tak ozgarnuje te papierzyska i różny kwas i śmieci.

Tam woda nie do picia! Panie święty!“

„A w jakim odziniu wybraliście się do drogi?”

„Odzinie góralskie wzienimy do kuferków, to kie my śli do grobu Pana Jezusa i do stajenki — Betleem — to my się po naskiemu ubrali, a na dróge to jo się uzda-joł, jak się patrzy. Kupiłek takie białe portki, dołek filancowi cosi pietności susstek za nie, a i w kataniek biał; Maćka takzek na pana wyzdajoł i tak my hań pojechali. — Mnie naucyło, kie biał, niewycytający z pielgrzymkom do Rzymu. Paru się nos gazdów ze Zakopanego zmówiło i pojechalimy w góralskiem odziniu, jak się zwyczajnie na odpust jedzie. To nom się nogi parzyły, a i despetowali nom. Bo o płonego cłeka nikany bida nimo. To nieroz od takiej zmuździ trudno się biało ognać. Jak my serdoki nawirh skucinom obrócili, bo gorąc biał wielki, to dziecisk taki rozaniec seł za nami i przezywali nas; tak wołali za nami: Barbari! Barbari! A i co który biał śmielsy, to dohipnon i za

skucine serdoka ciagnon. — To wej takom kómedyjom s nami robili. A tu cłek przyjehoł na odpust, a nie na kómedyje. Panie święty!

Ale juz idem se legnać, bok sie dość drógami natłuk. Ostajcie z Pane Jezuse. Mieście scęśliwom, dobrom noc!



Z PIELGRZYMKI DO RZYMU  
OPOWIADANIE JAŚKA WIRHOWEGO.



— Musi tez ta być omurowane to miejsce, ka Świenty Ociec siedzi.

— Ba ni! Tak sie whodzi od ulicy — ale wos ta tak nie puscom; musicie mieć bilet. Tam w bramie dwok ludzi z gardy (z gwardyi) Świentego Ojca warte trzymiom. Stojom z takimi laskami, jakie teraz u nos plebon sprowadził lo hłópów, co przy grobie Pana Jezusa we Wielgim Tyźniu stojom, i dwok wojoków od włoskiego króla stoi.

To sie idzie shodami na góre. Co kawołek wejdzies, to równo i znowu dwok stoi na zakręcie. Ale hłopy, jakik tu u nos nima, tyrolcyki — to jak idzies ka nie trza, to za woło po mimiecku „curik“.

Idź ta wišta, wejdzies wyzej, bier sie na hejta i znowu tam stoi jeden, abo dwók



i tak az dojdzies na górę. Tam we Watykanie Ociec Świenty mo ogród, bedzie go z dwaścia morgów i ten ogród to juz wysoko omurowany — tak jest na brzysku i tamok mo gadzinę.

— Pawie, bżanty?

— Pawia? Nie widziołek tamok. Ba trusie, łabędzie... Ale to, Panie świenty, niewolnik... to nimo na nim piórek tak... ba ino skudłacone, a i pazdurków nimo, ino takie trzy kłęki styrcom mu u nogi. Bedzie teli na zwyż, hłopu po dolinke w piersiak, ale wartki, jak djasi; dyc na nim, jako na kóniu pojedzies. A jojko, kie zniesie, to lo trzék ludzi naskwarzyłbyś ś niego jajeśnicy.

Łabędź to wom putnie wody wypije, tak sie płóko; to zoból mo, jakbyście mu dudy pod syje zawiesili; to kie wyńdzie na brzyzek, to takom płanie wody wyleje!

Widziołek tez baranka. Ten mie juz przejon do znaku, cok jaze tak zmirtwiół! Jo sie patrzem ku łabędziowi, a tu cosi zasuściło

na liściak i takie cyrniućkie prosto na mnie leci! Myślótek, ze djaból. Kciołek sie pąknąć, a tam bêt taki płótek z drutu, tak nizej kolana, no i poderwało mi nogi.

Bo, wiécie, bêt zwilcony, bo mu ludzie hléb dawali, to jak uwidziól cëka, to prościućko na niego leciól. Mioł ino jeden róg, tak ucienty ku przodkowi, jak moja ręka długi, a gwint mioł na nim tak akuratnie wyrobiony, jaze do samego końca. Wełna, to tako na nim bëła, jak grzywa na kóniu, a cyrniućki, jak kawka. Rucilek mu pote kromke hleba, to kie jom jod, to mu usy przykryły ziemie, jakbyście dłónie położyli; tele kłapcie bëły!

To w kozdem kraju inno dzwierzyna.

Jo hań wilka widziól, to bêt nie taki, jak u nos drzewiej bywowały, ba wielgi, taki śmigły, jak kopowiec, ale wyzsy, bucniejsy. W zelaznej klotce bêt, a jesce na łańcuhu uwiązany; to kie mu rucili z wirhu kości,

takik gicoli, to ik tak scypoł, co ino gwizdało, jakbyś na bicy strzyłoł.

Z takim byk, Panie świenty, nie kcioł sie w śtyry ocy spotkać. Usy mu do góry styrcaly, jak kotowi, a bęł taki bury.

Tam je piknie ogród utrzymany, bo tez co kawołek, to ogrodnik. Widno stamtąd Rzym i doline, ka cegłe robiom; to wybrali gliny takom połać,, jakby sie hań ka w holak uwiezło.

Kie my przyjehali do Rzymu, to bęł ogień, usłysołek pisk. Domy sie nie poliły, bo som z cegły, abo z kamienia, to sie wom poliły nie bedom.

Ba, mieli słomy styрте, telom, jak mój ten wyżni dom i ta słoma sie zapoliła. Jo hipnon ku oknu wyżryć; tam ino jedne kwatyre okna mozecie otworzyć, drugo je tako, jak w naszym kościele, we wiezy, descułkami założono i tego juz nie rusys; moze ta na zime spuscajom. No i otworzyłek to okno,

patrzem, a tu telo ognia. „Hłopcy, gore!“ wołam na ludzi.

Kiek zaś pote wyźroł okne, to sie telo ludzi suło ku ogniu — a tak pisceli, co jaze bez usy sło; krzykuk mało słysoł, ino juz strześnie pisceli! To sie juz tamok ta słoma spoliła do imentu. Jo sie po Rzymie dość nahodził.

— A widzieliście Świentego Ojca?

— Ba jakze! Kielo razy! Cosi ze trzy. — To teraz by mie i na audejcyjom wnet puścili, bo taki mo pirsieństwo.

Jo bół dwa razy w Rzymie. Roz w dziewięćsetném i w dziewięćsetném drugim.

Kościół Świentego Pietra jest nowięksy na świecie. Telo je, wiecie, wielgi — jo go wprowadzie nie mierzoł — ale kie poźryć od dźwirzy, to przy grobie Świentego Pietra cłowiek sie wydaje, jako muha. Kiek zacón isć bezeń od wejścia, tok zmówił Ojce nas, Zdrowaś i Wierze w Boga, zakiel jek za połowę przesel — a sełek średnim kroke.

~~BIBLIOTEKA~~<sup>6</sup>

URZĘDNIK: TOW. WZAG. UB. W KRAKOWIE.

~~SEKCJA IV.~~

Za trzeciom cęściom jest grób Świentego Pietra. Tam juz trza godnom dać okfiare, coby cie puściel; tam ci na lire nie patrzy, ba kie takiego w serdoku cię widzi, to się odstusi.

„Stój tam! Pote pudzies!“ Panów to puscajom, bo dajom godne piniondze. Tam — Panie świenty — moc dudka im idzie. Lepiej się im ta rano nie phać, ba po połedniu, bo mniej ludzi, ścisku nimo. To juz hoć za lirę, albo dwie to cię puści. Truhła Świentego Pietra to mało, tako ino skrzynecka; to ino relikwie som, ale juz ze scyrego złota, i tam sie juz, Panie świenty — dzień i noc światło świeci. Podalej Świentyk Ojców howajom. Hań majom grobowce.

E, jest sie cemu napatrzeć!

Świentego Ojca przynieśli. Śtyrek kardynałów niesło go na lektyce. — To se pote wstoł z tego trybunołu; dość krzepko dźwignon głowe, kie miał przemówienie — ale to juz małe béło a bieluckie, jak wopno.

Wąsecku, ani włosku na głowie juześ mu nie uwidziół. Taki ino skielet w cieie, kości w ludzkiej skórze. Głos miół miły, jako to staruskowie majom. Garda wse koło déń stoi, bo tam z pielgrzymkom hoćjaki sie cłek zawadzi. Kie my wołali: „Niek Świenty Ociec zyje“ — to sporo béło, co po mimiecku wołali: „Niek Świenty Ociec umre!“ To ik ta wnet pozbirali i wysykowali do pola.

Widziołek roz we Watykane, jako go dwók kardynałów wiedło. Wzieni go po pod pazuchy, to ino takim hłopce przy nik sie widziół, bo to zesknięte, a kardynałowie hłopy béli. Ale ta nie seł, jako tu po dylak, ba aksamit béł ościągnięty, syroki, jak od tej konewki ku piecu. I po nim seł.

Dzisiejsy Świenty Ociec to nie daje sie w stope całować, ba go ino po ręcak boskajom, ale nieboscyka, to juz trza béło po nogak moćkać.

Bazylika Świentego Pietra spojo sie murami z Watykane, to se juz prościučko kó-



rytorzami przechodzi. A pokoi wiecie kielo ta mo? Zgadniciez.

— Moze z pięć stów?

— He, dwa tysiące! To juz ta majom kany i gościa ułożyć. Jak se jaki masny pon przyjedzie do Rzymu, co, Panie święty, dudkiem śmierdzi, to mu juz hań uryktujom godny nocnik, coby ino rusył kiesyniom.

Widziołek hań, w muzeumie watykańskim, ten horągiew tureckom — takom zieliniatom, co jom to nas król Sobiecki — kie Widyń oślebodził, a wiare nasom obrónieł — posłał Ojcu Świentemu w podarunku, po zwycięstwie nad Turke. To bedzie na palec hrubo, a syroko i długo, jak wsiańsko husta. Musioł i ten hłope być, co jom uniós.

Nijakiej starości na niej nie znać, ino je trohe od kul zestrzempiono; ale to jedwab, to mocne.

— Jedwab sie noprędzėj ozleci — wtrącił Kuba, brat Wirhowego, co przyszedł do niego na posiadady.



— Jako padom! — Weźmie, podrobi i w nocy przyniesie i zawiesi ka sie patrzy. Wto go ta doziéro? A głupi myślom se, co to juz syćko musi być prowdziwe.

Nimo rady, ani gwary! Tele roki! Na prok sie ozleci, ozesuje. Kaby ta, coby ta béło, aj béło! Jo jedenbyk mu wiary nie doł, aj, nie doł!

Zastanowił się Jasiek Wirhowy nad tą uwagą brata.

— Komotrze? A husta Świentej Weru-nienki? Co na niěj wizerunek oblico Pana Jezusa?

— To inkse. To Pon Jezus. Ón syćko moze!

— A welon Matki Boskiej? Kumotrze? Widziołek go. Kie go wynosom, to z procesyjom, ze śpiwaniem, z kadzidłami go na góre niesom księdzo.

A to tele, jak syba w oknie — między skłém je opravione — z takiego sarego płótna, jak wałaskie sukno przed foluse. Położom

pote na stole, to ludzie mogom sie mu przy-  
patrzeć i pobożać go bez skór.

— Nimo rady, nimo gwary! To inkse. To  
Matki Boskiej welon!

Jasiek Wirhowy kumotrowi sie nie pro-  
ciwił, ba opowiadał dalej.

— Tam w tym kościele Świentego Pie-  
tra, to po kaplicak som tacy ludzie z mar-  
muru wyrobieni, jako na świat przysel. —  
A takie po nik zyły i mięśnie, jak korzenie,  
kie bujnie smrek rośnie, a skałe obłąpic  
musi korzeniami.

Kieby ozyl ten z tej skały, — to, Panie  
świenty, bęby hłop! Aniby Jewinemu Tom-  
kowi nie kciało sie iść s nim za pasy, hoć-  
by sie mu pięć dwaścia roków cořło.

— A Koloseum widzieliście?

— Kiek bęł pirsy roz w Rzymie, to jesce  
takie opuscone stało. Od północnej strony,  
to sie go kupe ozesuło; nie wiem, cy to  
mróz popucyl? Ale jak jek bęł juz drugi roz,  
tok widzioł na niem, hań na górze, mulorzy.

Óno, to koloseum, to jest takie, jak miska. Tu po krajak były siedzenia lo ludzi — jesce som u spodku poręce w tem murze — rdza nie zdołęła dogryść. Tam wielgie tysiące luda sie mieściło i sobom se nie zasłaniali. U spodku, jak dno miski, to béło igrzysko — na poły je przeciente.

Jedna strona, nizej wciento — to pod tom wyżniom som te piwnice, ka były zawarte dzikie dźwirzeta. Jo hań kcioł wleść, ale takie zimno, taki strak ztamstela idzie! Wzdrygnonek sie, coby mie jako źmila nie ukonśiła, bo hań sie juz takie goje zaujeny. — W tej wyżniej części, to przy kóńcak som po dwa wybiegi — wynwozy — wtórendy dzikie dźwirzeta wybiegoły ku krześcijanom, męcenikom. To igrzysko nie tak wielgie béło, ale całego zamurowanio do sta metrów w średnicy béło. Zydami go murowali; to juz tam, Panie świenty, poły odpowiadały; Niejeden ta przy tej robocie skapoł!

W Asyzie, skąd Świenty Francisek béł

rodé — ón beł ślahěckiego stanu, ale majontki na bidnyk ozdół i pote nic ni miół, ino z jałmuzny zył — to tamok, jest som trzy kościoły, jeden na drugim.

Piersy jest z turni, — drugi takze trohe w skale, a trzeci na nik domurowany. To sie idzie od spodku najpirw do niżniego — pote do pośredniego, a na końcu do wyżniego i syćko ino stemplami pod góre.

Hań, w tym troistym kościele u powały wisi kamień na łańcuhu uwiązany, a nad nim takie wklęśnięcie sie cyrni. To gwarzel mi jeden ksiądz z Polski, co byłek u niego do spowiedzi — a tam sie duzo naskik księdzów zawadzi — no i spytołek sie go: „E, jegomość, powieciez mi tez, co oznoco hań u powały ta skała, na łańcuhu uwiązano?“ To mi pedzioł: ze jedna baba przysła roz do kościoła i nie modliła sie, jako Bóg przykozół ba uklękła, na łokcie sie shyliła i legła głowom na ręce, a zadek w góre wystopórcyła i zamańiła o sprośnyk rzecak. Dyc i jo to

juz tak nie rod widzem, jak i u nos w kościele niē klęcy jak sie patrzy, ba legnie na rece i zadek w góre wystawi — no i w te razy, Panie świenty, urwoł sie gzyms w górze i spod jej na łeb. Głowa sie oskicła po posadzce. Pote jej to ludzie pozbierali i zeskładali, no i baba ozyła i o nicym nie wiedziała; bęła, jakby sie jej nic nie stało. Ten kamień to jest oblistwowany, obspóntowany, jako to zwyczajnie gzyms.

W Padwie tok spotkoł księdza z Cornego Dunajca rode.

Tam Świenty Jantoni lezy, całego widno; to na rękak mo takie sare rękawicki, a na nogak póncohy, ale ciało juz corne na nim. Ba język, to taki mo być, jakbyście mu go wcora wyjeni — i wnętrzości ś niego som w ółtorzu, jako to, Panie świenty, relikwie.

Do znaku pikny i hruby kościół jest takze w Lorecie, a w nim jest dómek Matki Boskiej.

— To musiało być objawienie?

BIBLIOTEKA  
URZĘDNI: TOW. WZAJ. UB. W KRAKOWIE  
SEKCJA IV.

— Ba ni? Cy nie wiecie? Ten dómek som sie przeniós do Krowacy i stanon' hłopowi na roli! To bét cłek zamozny — Panie świenty — gazda. To poozesyłół różnyk uconyk ludzi po świecie sukać, ozpoznawać, ka przedtem miół być.

No i našli to miejsce, skąd sie przeniós, bo ón jest z takik japisowyk kamieni, a ten kamień ino sie — Panie świenty — w Nazarecie nańduje — a i zwymierzali i akuratnie sie zdało. Pote temu gazdowi w niedługim casie sie zmarło, ostało po nim dwók synów. Ale ci barz ludzi zdzierali — łupili pielgrzymów, pote sie zogonami ozdzielili — i kozdy kciół, coby na jego stajonku bét domek — wzieni sie w prawo, no i — Panie świenty — różne przysięgi bėły! Tak tez po dwók latak domek zniknon i stanon w Lorecie. I znowu poozsyłali uconyk ludzi, nizinierów po świecie i ci sie dowiedzieli jak bėło i to miejsce w Nazarecie našli.

Tak na piasku w tym kościele stoi. Gwa-



rzom, ze tak mozes rękę bezeń u spodku przephać, jak przez dym albo pare... alek tego nie prógował, bo to nie dozwolone.

A w nim tok sie ani modlić ni móg — tak sie ani nie cuł. Kie my wysli, bok bęł z Jasio Ślimoke i z dwoma Pitóniami — to sie pytom Jasia: „Kumotrze, jako sie wom widziało?“ Pado: — „Tak, co sie cłek nie cuł, a wom?“ I Pitónie samo tak rzekli:

„A modliliście sie?“ „Ba ni — a wy?“ „No ni!“

„A ty?“ „Ni“ — pado.

Ten dómek jest murowany z kamienia — a tragorze takie na tem murze drzewiane, jak i tu w tej izbie, ka powała. „A tu tak; tam zaś tak“ — opowiadał Wirhowy, pokazując na swojej izbie, jako to tam być miało.

Tu przy piecu, to jest drzewo wmurowane w ściane. Moze na nocyńka. Bo do kamienia gwoździa nie wbijes — ba na nim musiały wisieć. A tam, za piece, jest tako fra-



muga w ścianie, zakratowano hrubemi krotami, a gęsto, co ledwie palec wbijes — to tamok som nacyńka, co ik Matka Boska używała. Tam ksiądz wysył po takim podwyższeniu za piec i przyniós kawołek drzewa, co sie nim zatykało i podoł nom do całowania. Tośmy go jak relikwie boškali. Takie z dwucolowej deski bęło. Moze to ta Świenty Józef zrobiěl.

Kie my wyhodzili z tego kościoła, to tamok przy dźwirzak stoło dwók wojoków — mieli takie krótkie sable — zje banjety — a przy nik — Panie świenty — tako brutwanka na stole bęła położono — dość godny placek by gospodyni na niěj upiekła — i na nie rucali okwiare. Ale nom ksiądz zakozoł dawać, to ta zrzodka zezbyrcało na brutwanie.

Wojocy sie patrzom — tu telo luda — bo nos z półtora tysiąca bęło, a okwiary mało kapło. E, hłopczy, kie zaceni trzcinkami

śyc po tej okwierce, to ino tak fyrcały selągi w górę. Jo sie ino patrzem, skoro sie ku nom obrócom.

Z całej Wenecyi to ino kościół Świentego Marka cosi worce. Kielo tam rzeźb! Tele marmury! Takie banie po nim, jako to rusnaki majom po swoik kościołak.

A uryktowane! Tako huściawa ozdób po nim!

W nuku, to je cały mazaikami wykładany, odkąd ino hłop se zimi dostanie. Święci i różne obrazy z nik uskładane. Ino posadzka hań nie równo — takie doły po niej.

Przed tem kościołem, to ino telo będzie rówienki, cobyś ledwie pół korca na niej wysiał — pote juz woda. To tego morza ze dwa kilometry do Świentej Jagnieski będzie. Tam w tej Wenecyi to teli smród i wilgoć, co mi odrazu nos rymom zatkało.

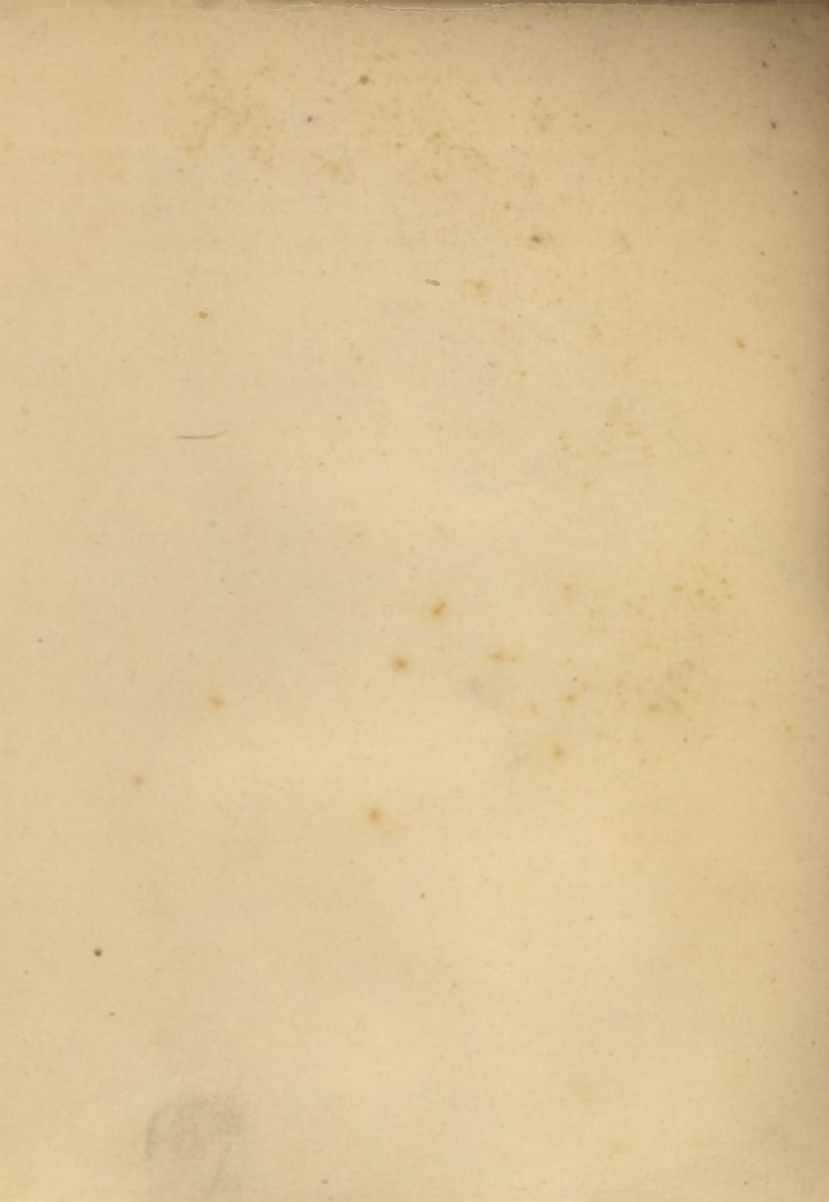
Tam przy krajak i w rogak po tyk kanałak, to tako spuscano woda stoi.

A kiebyście wiedzieli, kielo tam świństwa

ludzie zjedzom! Tam — Panie święty — ka  
jaki ślimoczek, ka jaka żaba, rak, to syćko  
zję! Ślimoki, — to ino jem tak kielzajom  
do krztonia. Jaze wrodno patrzeć, kie zre-  
jom to robactwo! Co ino w morzu, i no lą-  
dzie mo, to syćko zre! Dyj mlac — ten taki,  
co u nos na wiesne mo zółte kwiotki, to hań  
jedzom, ino se go oliwom pomaści.

Tam mie juz więcyj nie ciągnie, ale do  
Ziemi Świentej to jesce pojadem, jak ino Pon  
Jezus do zdrowie i cas po temu. Ale poja-  
dem lądem, bez Bawaryom, bo na morzu  
straśnie pierę!

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN



~~BIBLIOTEKA  
URZĘDNI: TOMASZ UB. W KRAKOWIE  
SEKCJA IV.~~

